

A
LKO
HO LIK



ALKOHOLIK

Meszuga

AUTOBIOGRAFICZNA OPowieść o ŻYCIU, PICIU, UZALEŻNIENIU I WYZWOLENIU.
CAŁA PRAWDA I... HISTORII CIĄG DAŁSZY

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2018

© Meszuga, 2018

Wydanie trzecie, poprawione i uzupełnione

Korekta: Dariusz Godoś, Sylwia Łopatecka

Projekt okładki: Justyna Tarkowska (www.milewidziane.pl)

Skład: Dawid Adrjanczyk

ISBN 978-83-277-1605-7

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk: EKODRUK • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK White 70 g vol. 1.6
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

Dziękuję Ewie, Joannie, Katarzynie, paru Markom oraz kilkunastu innym podopiecznym i alkoholikom płci obojga. Z Wami ten świat jest zdecydowanie lepszym miejscem. To dzięki Wam wszystkim codziennie czuję się zobowiązany realizować w praktyce, we własnym życiu, wszystkie te niezwykle mądre rady i wskazówki, które ode mnie słyszycie.

*Tragedią naszego życia jest to, jak głęboko musimy cierpieć,
zanim nauczymy się prostych prawd, według których trzeba żyć.*

„Anonimowi Alkoholicy wkraczają w dojrzałość”

WSTĘP DO NOWEGO WYDANIA

Pierwszego „Alkoholika” pisałem głównie w latach 2009–2010. Dawno? Niedawno? Czas zmienia ludzi, to prawda, ale życiowe doświadczenia chyba jednak bardziej. W każdym razie czas to dobry, choć wymagający nauczyciel. W jednym ze środowisk, w których się obracam (Anonimowych Alkoholików), popularne jest określenie skazani na rozwój. Zgadzam się z nim, choć dzisiaj dodałbym, że nie wszyscy alkoholicy na ten rozwój są skazani. Nie wiem jednak, dlaczego jedni z nas mają tak właśnie, inni natomiast bez tego nieustającego rozwoju świetnie sobie radzą. W każdym razie ja do tych skazańców należę, jednak nie dlatego, że tak postanowiłem, że mi się zachciało – w moim życiu nieustanny rozwój okazał się niezbędny, bo zauważyłem, że bez niego po prostu się cofam, a nie chciałbym się cofnąć do punktu wyjścia. Bez względu na to, czy oznaczałoby to powrót do destrukcyjnego, kasacyjnego picia, czy tylko (tylko?!) do tych trzech–czterech lat, kiedy wprowadzie nie używałem już alkoholu, ale sobie i innym, zwłaszcza rodzinie, bliskim, robiłem z życia piekło.

Nikt z nas nie wkracza w dojrzałość duchową z własnej woli lub w wyniku całkowicie wolnego wyboru.*

* Richard Rohr, „Spadać w górę. Duchowość na obie połowy życia”, Wydawnictwo WAM, Kraków 2013, s. 16.

Dla skazanego na rozwój alkoholika dekada to szmat czasu, na pewno znacznie więcej niż dekada dla kogoś zdrowego. W każdym razie w moim przypadku był to okres zaangażowanej aktywności, znaczących zmian; czas należący do puli kilkunastu najlepszych dotąd lat w życiu – przede wszystkim dlatego, że byłem... hm... bywałem przydatny. Ale nie tylko.

Kiedy piszę o zmianach, winien jestem wyjaśnienie. Mieszkam w tym samym skromnym, ciasnym mieszkaniu, w którym upijałem się do nieprzytomności prawie dwadzieścia lat temu, w tym samym mieście, za oknem mam ten sam widok; od dawna uczestniczę w spotkaniach (zwanych u nas tradycyjnie mityngami) tych samych dwóch, trzech grup AA... Pozornie nic się u mnie nie zmieniło albo bardzo niewiele, jakieś detale może, ale dysponując nową parą duchowych okularów, żyję wprawdzie w tym samym albo bardzo podobnym otoczeniu, ale w wyraźnie i zdecydowanie innej już rzeczywistości.

Nie zmieniły się, rzecz jasna, fakty z mojej przeszłości, jednak w przypadku wielu z nich znaczącej zmianie uległa moja ich ocena, a wnioski wynikające z interpretacji wydarzeń, postaw, zachowań, decyzji, wyborów, ewoluowały z czasem, i dlatego zmiany w nowej wersji „Alkoholika” nie polegają jedynie na dopisaniu rozdziału „Ciąg dalszy nastąpił”.

PROLOG

– *Czy jest ktoś lub coś, za co chętnie oddałbyś życie? Czy istnieje coś takiego, za co nie żał byłoby ci umierać?* – Pytania zawisły w martwej ciszy, a mnie ogarnęła nagle fala wspomnień...

O tak, przez prawie trzydzieści lat, bez chwili zastanowienia, potrafiłbym odpowiedzieć na takie pytania twierdząco, wyobrażając sobie ochoczo rozmaite okoliczności, sytuacje oraz ludzi, za których warto byłoby oddać życie. Zwłaszcza w jakiś wyjątkowo spektakularny, heroiczny, no i koniecznie romantyczny sposób. Jednak prawdziwy problem polegał, zdaje się, na tym, że przez wszystkie te lata jakoś nie potrafiłem znaleźć ani jednego dobrego powodu, dla którego warto byłoby żyć...

Wtedy się zakochałem.

„Alkoholik” to historia wielkiej miłości; nieodwzajemnionej, zdradzonej, tragicznej i przekłętej. W alkoholu zakochałem się, będąc mężczyzną trzydziestoletnim, nie była to więc miłość od pierwszego wejrzenia, jednak nie mam najmniejszej wątpliwości, że szukałem jej, w pewnym sensie, od wczesnego dzieciństwa. To także historia powrotu do trzeźwości oraz osobistego rozwoju – duchowego i emocjonalnego.

Ludziom, którzy z alkoholizmem, czyli chorobą alkoholową, uzależnieniem, nigdy się bezpośrednio nie zetknęli, może się to wydać nieprawdopodobne, ale wbrew pozorom i popularnym przekonaniom problemem alkoholika nie jest alkohol. Cóż więc nim jest? „Alkoholik” to próba znalezienia odpowiedzi na to pytanie. W moim przypadku próba, jak sądzę, udana. Szukałem pewnego wzoru, schematu, ciągu przyczyn i skutków – i znalazłem go.

Posługując się nieco wisielczym humorem, powiedziałbym, że „Alkoholik” to swego rodzaju instrukcja, jak zostać alkoholikiem, to znaczy, kiedy i w jakich okolicznościach dokonywać złych wyborów i błędnych decyzji, które w konsekwencji mogą doprowadzić do uzależnienia się od alkoholu albo jakiejś innej substancji zmieniającej świadomość. A poważnie – jest to przestroga i szansa. Jeśli Czytelnik zorientuje się, że w swoim życiu podąża moimi śladami, to może będzie miał jeszcze szansę zawrócić. Zawrócić, zanim straci dokładnie wszystko, zanim sięgnie dna, zanim piękny romans zamieni się w koszmarną tragedię, z której wszyscy wychodzą przegrani. Oczywiście ci, którzy przeżyją, bo nie wszyscy będą mieli tyle szczęścia. Może to być także szansa dla członków rodziny, współpracowników, kolegów, którzy dzięki lekturze będą mogli zorientować się szybciej, prędzej rozpoznać niepokojące objawy u kogoś bliskiego.

W Kanie Galilejskiej, podczas wesela, Jezus zamienił wodę w wino (J 2,11). Ja byłem lepszym *magikiem*. Całymi latami, z morderczą skutecznością, tysiące razy zamieniałem w alkohol prawie wszystko, bo przecież nie tylko dobra tak przyziemne jak pieniądze, firmy czy stanowiska, ale także szacunek, godność, zaufanie, a nawet miłość dziecka i własne sumienie. *Cudotwórcą* być przestałem 15 stycznia 1999 roku.

CZĘŚĆ PIERWSZA

DZIECIŃSTWO – MOZAIKA OBRAZKÓW Z DAWNYCH CZASÓW

Historię tę rozpoczynam od wprowadzenia w tło i miejsce akcji oraz zaznajomienia z paroma ważniejszymi *dramatis personae* za pomocą kilkunastu obrazków, migawek z mniej lub bardziej odległej przeszłości. Możliwe, taką mam nadzieję, że ułatwią one zrozumienie tego, co, jak i dlaczego wydarzyło się w okresie późniejszym, a także co dzieje się obecnie.

Gromada przodków – obrazek 001

Moi przodkowie potrafili smakować milczenie. No, nie wszyscy, rzecz jasna. Tylko ci, których ojczyzną była Nizina Wschodnioeuropejska i którzy po opuszczeniu ojczystych stron do końca życia tęsknili za burzanymi porastającymi stromy brzeg Wołgi. Potrafili też pić na umór, nie zakąszając przy pierwszym litrze, ale to inna, choć nie mniej ważna historia.

Ta ćwiartka krwi rosyjskiej w moich żyłach powodowała, że bardzo dobrze rozumiałem, a nawet czułem, że smakowanie milczenia nie ma zupełnie nic wspólnego z pełną skrępowania ciszą, która zapada czasem w gronie osób niezbyt wyrobionych towarzysko. Milczenie – właściwie smakowane – zbliża ludzi chyba nawet bardziej niż seks lub wspólna cela.

W chwilach wolnych od smakowania milczenia lub picia, albo i jednego, i drugiego, bo smakowanie milczenia zupełnie nie wyklucza wspólnego upijania się, może nawet wprost przeciwnie, byli ci moi przodkowie otwarci, choć może niekoniecznie na nowości, wylewni aż do bólu i życzliwi, z tym że nie było komu.

Brali też udział w wielkiej wojnie. Teraz wydaje się, że po stronie moralnie czystszej – jeśli coś takiego można powiedzieć o jakiegokolwiek stronie w jakiegokolwiek wojnie – jednak ważniejsze z praktycznego punktu widzenia było to, że po stronie przegranej. Mój dziadek miał szczęście: wprowadzie podczas przekradania się przez linie frontu i granice zgubił gdzieś żonę, ale ostatecznie jakoś się do Polski przedostał. Większość tyle fartu nie miała. Żona też się już nigdy nie odnalazła, ale... znalazła się nowa.

Niewielka część rodziny przywędrowała z północnej, niemieckojęzycznej części Lotaryngii. Jakiś pra... pra... potrafił obsługiwać i naprawiać maszyny dziewiarskie. W tym czasie w Łodzi przemysł włókienniczy rozwijał się dynamicznie, a nawet lawinowo, nic więc dziwnego, że dla fachowca miasto to mogło wydawać się ziemią obiecaną – warunki pracy i płacy w nowych łódzkich fabrykach były o niebo lepsze niż w starych zakładach miejscowych.

Ci przywieźli z sobą i dorzucili do wspólnego kotła konformizm, dyscyplinę, odpowiedzialność, rzetelność, specyficzne i nie przez wszystkich rozumiane poczucie humoru oraz organiczną, zdaje się, niezdolność do działań spontanicznych i beztrudnej zabawy.

Wreszcie posiadacze pakietu większościowego, który oceniam na jakieś pięćdziesiąt procent – Polacy z centralnej części kraju. W zamierzchłej, XVIII- i XIX-wiecznej przeszłości mającej jakieś majątki z tysiącami hektarów, własne wsie, a zwłaszcza jedna, której nazwa przypomina moje nazwisko.

Niestety, obecnej degrengolady nie mogę zrzucić na komunę, choć muszę przyznać, że takie rozwiązanie wygląda momentami bardzo kusząco. Prawda jednak jest taka, że pradziadek, poza tym, że posag mojemu dziadkowi wypłacał ze trzy razy (dziadek zawsze go marnował), całą resztę majątku przehulał i roztrwonił. Sam, osobiście i własnoręcznie. Trafnie przewidując przyszłe dzieje państwa i narodu, zrobił to z jakąś mściwą i ponurą satysfakcją, pod hasłem: *Czerwonej bolszewii nie zostawię nic!* To i nic nie zostało.

Polacy dali to, czego zawsze mieli pod dostatkiem, niestety: ponury pesymizm, tumiwizizm, smętne biadolenie, upodobanie do operowania skrajnościami, bo jak walka, to tylko do krwi ostatniej, jak zawziętość, to choćby zdechnąć, jak robota, to zrywem i do upadłego, jak picie, to na umór... Emocjonalność zamiast pragmatyzmu i zdrowego rozsądku. Lata mijają, a tu nadal... *czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko*. Czy gdzie indziej nie było romantyzmu? Ależ był, jak najbardziej! Jako kierunek w sztuce. Jakoś nie przeszkadzał kupcom, rzemieślnikom, burżuazji i wreszcie przemysłowcom budować potęgę ekonomiczną państwa. A my, Polacy, z romantyczności uczyniliśmy cechę narodową, z której jesteśmy na dokładkę dumni, i posługujemy się nią radośnie i z zapalem w życiu politycznym, społecznym, gospodarczym.

Cóż jeszcze? Narodową dumę, choć nie bardzo wiadomo z czego, oraz skrajny indywidualizm, który w praktyce powoduje kompletną niezdolność do organizowania się i jakiegokolwiek wspólnego działania. Aleksander Wielopolski (XIX-wieczny polityk, ordynat pińczowski, zwolennik reform) twierdził, że dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, ale z Polakami nigdy... Właściwie dopiero Anonimowi Alkoholicy nauczyli mnie, że tak być nie musi.

W każdym razie, jeśli istniała jakakolwiek realna szansa na to, by z tej piekielnej mieszaniny powstało coś wartościowego, to ja jej nie wykorzystałem.

Opowieści rodzinne – obrazek ooz

Nie pamiętam z dzieciństwa żadnych bajek. Nie pamiętam pewnie dlatego, że mi ich nie opowiadano. Dość dobrze za to pamiętam historie rodzinne, których domagałem się przed zaśnięciem oraz przy każdej innej okazji, albo i zupełnie bez okazji.

Różne opowieści i anegdoty z życia szacownych, no... może nie zawsze aż tak bardzo szacownych, antenatów opowiadały mi głównie babcia i matka, ale dziadek wraz z pokazną gromadą ciotek i wujków także miał udział w tym niecnym procederze.

Często opowieści wzbogacane były prezentacją starych, pożółkłych fotografii sięgających połowy XIX wieku – te były najciekawsze. Fascynowali mnie ludzie we frakach i krynolinach, dziwnie uczesani, w tradycyjnych pozach, kiedy to pan domu siedzi z nogą założoną na nogę, z laską czy fajką, a żona stoi nieco z boku za jego krzesłem lub fotelem. Ciekawiło mnie bardzo, kim byli i jacy byli, i mogłem o nich słuchać godzinami.

Czasem zastanawiam się, czy faktycznie nie opowiadano mi bajek, czy może to ja nie chciałem ich słuchać? Nie byłoby w tym nic dziwnego – mdły i naiwny Czerwony Kapturek nie był w stanie konkurować z opowiadaniem o dramatycznej konnej ucieczce przed bolszewikami lub o zabawnych kawałach, jakie płał sąsiadom pradiadek obszarnek. To po prostu nie była ta klasa. Ot, choćby to...

Obdarzony poczuciem humoru *pan na włościach* zamalował kiedyś właścicielom sąsiedniego majątku okna dziegiem. Byli ponoć strasznymi śpiochami, a chodziło o to, by spraw-

dzić, jak długo będą w stanie spać, przekonani, że ciągle jeszcze jest noc.

Innym razem nocą, wraz z wesołą kompanią, rozłożył sąsiadom na części weselną karetę, wystrojoną i przygotowaną do porannego wyjazdu do kościoła – po wniesieniu jej w częściach na dach stodoły zmontowano ją ponownie. Pradziadek zdobył podobno morze wódki za zdradzenie, jak dokonał tej sztuczki, oraz za sprowadzenie karety z powrotem na ziemię.

À propos *włości* – nie było ich tak znowu wiele, zaledwie trzy tysiące hektarów, wystarczyło jednak, żeby moja matka miała pewne, hm... problemy w szkole średniej w czasie zwanym okresem *błędów i wypaczeń*. Wspominała czasami rozmowę, na którą zaproszono ją w związku z tymi hektarami do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (UB). Wobec funkcjonariusza bezpieki matka – mówiąc dzisiejszym językiem – rżnęła głupa i szła w zaparte. Twierdziła mianowicie, że nie ma pojęcia, jaki był majątek jej dziadka, może były to trzy hektary, może trzydzieści albo trzysta... Ona się na tym nie zna, nic nie wie, a w ogóle to chyba jakieś nieporozumienie. Widać udało jej się przekonać rozmówcę, bo maturę zdała bez żadnych przeszkód.

Pradziadek, o którym wspomniałem, nie zawsze miał poczucie humoru tak niewinne. Niektóre jego pomysły pozostają zagadką właściwie do dziś – na przykład sprawa córek. Pradziadek formalnie nigdy się nie ożenił, natomiast prostą kobietę, z którą spędził większość życia, odważnie jak na tamte czasy, nazywał żoną. Ona wprawdzie nigdy nie pozwoliła sobie zwrócić się do niego bezpośrednio po imieniu, a przynajmniej nikt nigdy tego nie słyszał, ale to już inna sprawa. Ot, pokręcony związek, nie pierwszy i nie ostatni w naszej rodzinie.

Miał z nią pradziadek dwie córki. Jedną niedługo po urodzeniu odesłał na wieś, do rodziny *żony*. Dokładniej mówiąc, do czworaków. Drugą, była to późniejsza matka mojej matki, wychował w dworku. Przez całe lata izolował siostry, a kiedy wreszcie doprowadził do spotkania dorosłych czy dorastających już córek, doszło do niesmacznej i przykrej sytuacji: wielka pani w długiej sukni na przywitanie podała rękę do pocałowania swojej siostrze, chłopce ubranej w zgrzebny samodział... Co pradziadek chciał przez to osiągnąć, co udowodnić i komu, pozostaje i pewnie pozostanie już tajemnicą.

Kiedy byłem dzieckiem, babcia i jej siostra (zwana w rodzinie ciotką z Widawy) kontaktowały się z sobą już mniej więcej normalnie, czyli dwa, trzy razy w roku z okazji świąt. Zapamiętałem z jakiejś wizyty w naszym mieszkaniu spracowaną, starą, cichą kobietę.

Nie mniej ciekawie, a nawet tajemniczo, było z kolejnymi wstępnymi. Ktoś o nazwisku Kossak (podobno jakiś krewniak znanych malarzy) swoimi ciągotami narodowo-wyzwoleńczymi narobił sobie problemów i musiał jakoś zniknąć z widoku ówczesnych władz. Elementami tego znikania była zmiana nazwiska na bardziej popularne oraz ślub z prostą dziewczyną z Łodzi, córką majstra tkackiego.

Jak już wspominałem, majster i jego córka byli Niemcami z Lotaryngii i oboje kompletnie nie znali języka polskiego. Zresztą w tamtych czasach w Łodzi nie było to specjalnie potrzebne.

Pan młody wprowadzie biegle władał językiem niemieckim, ale najwidoczniej nie zamierzał się w tym języku porozumiewać w domu w nieskończoność. Wyzначył więc żonie półroczny okres, w którym miała się polskiego nauczyć. Młoda dziewczyna zlekceważyła nakaz i w efekcie po sześciu miesiącach było wiele płaczu i złości – nie potrafiła

porozumieć się ani ze służbą, ani z własnym mężem. W tych warunkach, rzecz jasna, opanowała język bardzo szybko. Ich syn był ojcem mojej matki.

Rodzina mojego ojca to drugi biegun – Rosja. Najpierw prawdziwa, carska, później Radziecka. Z dziadkiem (ojcem ojca) nie stykałem się zbyt często, więc i opowieści rodzinnych nie udało mi się od niego wydębić zbyt wiele. Zresztą człowiek ten niezbyt chętnie cokolwiek opowiadał. Miałem wrażenie, że właściwie całe życie bał się *czzerwonych*. Widać podczas rewolucji, a następnie wojny polsko-rosyjskiej, którą wykorzystał do ucieczki do Polski, napatrzył się różnych okropności. Paradoksalne wydaje się to, że jego kuzyn dochrapał się w ZSRR stopnia generała Armii Czerwonej.

W końcu, w odmętach czasu i przestrzeni, zupełnie nieodpowiedni ludzie się spotkali i w efekcie w drugiej połowie 1958 roku przyszedłem na świat.

Przychodzę na świat – obrazek 003

W połowie XX wieku, w okolicznościach bliżej mi nieznanych, spotkali się ludzie kompletnie nieodpowiedni i dzięki temu, a może właśnie mimo to, jesienią 1958 roku, wyjątkowo niezdrowo i o miesiąc za wcześnie, przyszedłem na świat. Oczywiście wtedy nikt sobie jeszcze nie zdawał sprawy z faktu, że moi rodzice są zupełnie nieodpowiedni, zarówno dla siebie nawzajem, jak i dla mnie. Ale o tym nieco później.

Urodziłem się jako dziecko z nadzieją i niepokojem oczekiwane – podobno. Od ślubu rodziców minęło już kilka lat, matka miała za sobą dwa poronienia... Mało brakowało,

a i ze mną by się nie udało. Przyszedłem na świat w ósmym miesiącu ciąży, wtajemniczeni wiedzą, że to znacznie większy problem niż z noworodkiem siedmio-, a nawet sześciomiesięcznym, i początkowo nie wykazywałem zbytnej chęci do życia. W szpitalu położniczym matkę kilka razy budzono w nocy słowami: *Proszę wstać, dziecko kona*, i sprowadzano pod inkubator, w którym leżałem.

Tę koszmarną historię, a zwłaszcza dramatyczne zdanie: *Proszę wstać, dziecko kona*, słyszałem od matki mnóstwo razy, może ze sto. Opowiadała mi ją z wyraźną przyjemnością i chyba czymś w rodzaju satysfakcji. Trwało to od mojego wczesnego dzieciństwa do samej jej śmierci.

Prawdopodobnie gdyby w moim domu istniał zwyczaj normalnego rozmawiania, porozumiewania się czy komunikowania, pewnie wreszcie kiedyś zapytałbym ją, czemu mi to robi. Po co? Co chce w ten sposób osiągnąć? No, ale z matką się nie rozmawiało (wydawanie poleceń czy komunikaty typu: *Trzeba wynieść śmieci*, to jednak nie rozmowa), więc do dziś nie wiem, czy oczekiwała wdzięczności, przeprosin, czy jedynie wystarczało jej wpędzanie mnie tą historią w poczucie winy.

Wspomniałem, że byłem dzieckiem chcianym i oczekiwanym – być może... Wierzę w każdym razie, że moim rodzicom, a matce na pewno, tak się wtedy mogło wydawać. Natomiast faktem jest, że urodziła mnie, mając dwadzieścia osiem lat, kiedy oboje z ojcem mieli już za sobą kilka lat luźnego, dość wygodnego życia, bez większych problemów finansowych, zobowiązań czy odpowiedzialności za kogoś jeszcze.

Matka opowiadała czasem o swoim życiu przed moim urodzeniem i wyglądało na to, że wiele w nim było dancin-gów, rozmaitych wyjazdów, towarzystwa, zabaw. Poza tym

matka namiętnie uprawiała lekką atletykę na dość wysokim poziomie, była też sędzią siatkówki – sportu wyraźnie było jej żal.

W końcu jakoś się jednak wykaraskałem i po kilku czy kilkunastu tygodniach matka wróciła ze mną do domu. Do siódmego roku życia domem był dla mnie *kołchoz* przy ulicy Ozimskiej w Opolu. Dokładnie w tym miejscu, gdzie obecnie straszy (są tacy, którzy twierdzą, że ponoć zdobi) futurystyczny, ze szkła i aluminium, biurowiec PZU.

Przez te siedem lat moi rodzice i ja tylko raz opuściliśmy *kołchoz* na dłużej. Był to tak zwany incydent jędrzejowski. Ojciec (bez wykształcenia) został kierownikiem prewentorium w Jędrzejowie, a matka (technik włókiennik) podjęła tam pracę jako dietetyczka. Bardzo szybko okazało się, że ojciec nadużywa kierowniczej władzy, alkoholu, służbowej kasy i zatrudnionych w prewentorium kobiet, więc jego dalsza kariera uległa pewnemu... hm... jak by to powiedzieć... zaburzeniu. Z podkulonymi ogonami wróciliśmy do Opola i *kołchozu*.

Z opowieści mojej matki, która to wydarzenie postrzegała jako jedno z większych upokorzeń w życiu z ojcem, wynika, że wtedy też po raz pierwszy zaproponowała mu rozstanie i rozwód. Ojciec – to też wiem z jej opowiadań – zastosował wówczas sprawdzony męski manewr i oświadczył, że jak matka go porzuci, to on się otruje. I żeby wykazać determinację i poważne zamiary, przystąpił niezwłocznie do tego trucia się poprzez konsumpcję mydła toaletowego o wdzięcznej nazwie Siedem Kwiatów.

Matka wspominała, że było to widowisko żałosne (no, myślę!), ale... najwyraźniej jednak skuteczne, bo z ojcem została, przynajmniej na kilka lat.

W tamtym okresie ojciec miał wykształcenie podstawowe, matka dyplom technika. Były to czasy, w których mawiano jeszcze *pan/pani technik* i faktycznie tytuł ten miał istotne znaczenie i wartość. Matce jednak nie wystarczał, miała ambicje, chciała studiować. I tu znów na scenę wkroczył ojciec. Przekonał ją, że głupio będzie wyglądało, jeśli żona będzie miała wyższe studia, a mąż tylko podstawówkę, i jakoś namówił, żeby poczekała z tymi swoimi studiami, aż on zrobi maturę. Matka się zgodziła i – co było do przewidzenia – nigdy już wyższych studiów nawet nie zaczęła. Ojciec, odchodząc z tego świata, miał magisterium z prawa.

Po powrocie z Jędrzejowa do Opola i naszego *kołchozu* ojciec rozpoczął pracę w Zakładach Mięsnych oraz pobieranie nauk w wieczorowej szkole średniej. Matka pracowała wtedy w Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego (Cepelia). Ze swoim dyplomem i znajomością przedmiotu szybko została cenionym rzeczoznawcą i zarabiała kupę pieniędzy.

Kiedy w Zakładach Mięsnych wybuchła afera kryminalna – w tamtych czasach mnóstwo było rozmaitych afer przemysłowych i innych, a w przemyśle spożywczym to już obowiązkowo, było tylko kwestią czasu, kiedy wybuchnie kolejna – ojciec rzekomo (relacja nienawidzącej go matki) zadenuncjował swoich kolegów i współpracowników i w zamian, w nagrodę, przyjęto go do pracy w milicji (MO). No, może... Ale jakoś trudno mi w to uwierzyć; wiem skądinąd, że nawet w MO nie rwali się do zatrudniania kapusiów.

W 1963 roku urodził się mój brat, a w 1965 ostatecznie rozstaliśmy się z *kołchozem*, przeprowadzając się do nowego mieszkania w blokach. Od dłuższego już czasu między rodzicami było bardzo źle, nie było też tajemnicą, że ojciec ma kochankę. I rzeczywiście w niedługim czasie po przeprowadzce definitywnie opuścił dom i rodzinę. Ale zanim to nastąpiło...

Lata sześćdziesiąte – obrazek 004

Lat pięćdziesiątych, z oczywistych względów, nie kojarzę zupełnie, natomiast z okresem 1962–1965 bywa już różnie. Wprawdzie czasem mam wątpliwości, czy faktycznie pamiętam jakieś wydarzenie, czy tylko opowieść o nim, ale nie dzieje się tak zbyt często. Niewątpliwie jednak pewien jestem, że...

Sklepek Ruchu po drugiej stronie ulicy Ozimskiej, który często obserwowałem z okna *kołchozu* i w którym często bywałem, miał drewniane podłogi. Po prostu z desek, jak w mieszkaniach. Tak samo było w sklepie z rowerami na ulicy Koraszewskiego i prawdopodobnie w wielu innych, ale te dwa pamiętam na sto procent. Oczywiście wtedy nie zastanawiałem się nad tym faktem, bo i niby czemu? Przypomniłam mi się po latach, kiedy w sklepach wszędzie były już rozmaite płytki, kafle, a czasem nawet wykładzina.

Podobnie było z piecami w sklepach i spluwaczkami w urzędach. O tym, że przecież coś takiego kiedyś istniało, że to pamiętam z dzieciństwa, uzmysławiałem sobie często po wielu latach przy jakiejś innej okazji (film, książka) albo i bez wyraźnej okazji.

Na przykład piece w sklepach wróciły w mojej pamięci dzięki odwiedzinom w księgarni, w niewielkiej miejscowości o nazwie Biała Prudnicka – tam, na zapleczu, stał taki właśnie piec i jeśli się nie mylę, używany był przynajmniej do połowy lat dziewięćdziesiątych XX wieku.

O ile piece w sklepach czy biurach nie powinny, na tak zwany zdrowy rozum, być niczym dziwnym – centralne ogrzewanie to wprawdzie wynalazek z czasów faraonów, ale w powszechnym użyciu w Opolu pojawiło się jednak nieco później – to spluwaczki z perspektywy czasu wydają mi się

jakimś *curiosum*. Czy ludzie w tamtych czasach tak się różnili fizjologicznie od współczesnych, że nie byli w stanie przełykać śliny i musieli ją wypłukać? No bo jeśli musieli, to splotaczki faktycznie miały sens – lepiej, żeby pluli do nich niż na podłogę.

Żadna ulica w mieście nie miała nawierzchni asfaltowej. Te ważniejsze wyłożone były granitową kostką brukową, a boczne, na peryferiach, po prostu kamieniami polnymi różnego kształtu i koloru – nazywano to *kocimi łbami*. Z czasem zdecydowaną większość ulic pokryto asfaltem, żeby w latach dziewięćdziesiątych z kilku najbardziej reprezentacyjnych ów asfalt zerwać i odsłonić... granitową kostkę brukową, która w międzyczasie stała się ponoć wartym zachowania i specjalnego eksponowania zabytkiem. Gdzieniedzie pozo-
stały także, celowo odrestaurowane, *kocie łby*.

Po mieście poruszaliśmy się zwykle pieszo albo autobusami MPK. Autobusy Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego były wszystkie koloru czerwonego, natomiast autobusy PKS (Państwowa Komunikacja Samochodowa), którymi ludzie dojeżdżali do miast i wsi w obrębie województwa, były niebieskie. Uważałem to i nadal uważam za wygodne i praktyczne, zwłaszcza że obowiązywało w całej Polsce – z bardzo daleka widać było, jakiego typu autobus zbliża się do przystanku. Dziś, kiedy wszystkie autobusy oblepione są rozmaitymi reklamami, identyfikacja nie jest już taka prosta.

W czerwonym (miejskim) autobusie, zaraz obok wejścia, a wchodziło się wtedy tylko i wyłącznie tyłem, było specjalne miejsce dla pani sprzedającej bilety, konduktorki. Przejazd osoby dorosłej kosztował pięćdziesiąt groszy, a dzieciaka trzydzieści. Mniej więcej w tym samym czasie pięćdziesiąt groszy kosztowała zwykła bułka. Była to kwota symboliczna.

W tamtych czasach nie było żadnych deptaków, czyli ulic zamkniętych dla ruchu kołowego, którymi można byłoby spacerować całą szerokością. Jedna z linii autobusowych biegła na przykład wzdłuż obecnego deptaku, to jest ulicy Krakowskiej, przez plac Wolności, Rynek do Ronda. Rondo celowo piszę dużą literą – było wtedy tylko jedno i nie miało żadnej specjalnej nazwy – chyba że za nazwę własną uznać właśnie „Rondo”. Obecnie jest to plac Konstytucji 3 Maja. Z opowiadań matki wiem, że mój ojciec proponował Miejskiej Radzie Narodowej jakąś nazwę dla niego, ale odpowiedziano mu grzecznie, że nie ma potrzeby nazywania jakkolwiek jedyne rondo w mieście. Wydarzenie to służyło matce bardzo długo do demonstrowania głupoty czy bezmyślności ojca, gdyż według niej o tym właśnie jego propozycja świadczyła.

Na opolskim Rondzie nie było wtedy jeszcze wieżowców (bloków dziesięciopiętrowych) ani estakady. Jedynie okrągły klomb z trawą i kwiatami, na którym stał samolot – pamiątka z czasów II wojny światowej. Co ciekawe, czterdzieści lat później adres: plac Konstytucji 3 Maja nadal jest pustym dźwiękiem i miejscem, którego prawie nikt z niczym nie kojarzy, natomiast gdzie są wieżowce na Rondzie, wiedzą wszyscy opolanie. Inna sprawa, że wprowadzie w mieście przybyło skrzyżowań o ruchu okrężnym, ale żadnego z nich nikt z tubylców nie nazwałby jeszcze rondem – są po prostu za małe i... zbyt nowe.

Niedaleko *kołchozu* (jak się mieszka w centrum małego miasta, to właściwie wszędzie jest blisko), u zbiegu ulic Reymonta i Kamiennej, była kuźnia. Taka prawdziwa, z kowalem, paleniskiem, miechami i kolejką koni czekających na podkucie. Transport wozami zaprzężonymi w konie może już nie przeważał, ale nadal był czymś zupełnie normalnym

i powszechnym. Lubilem obserwować konie i ich podkuwanie. Żał mi też ich było, bo wydawało mi się, że ten zabieg na pewno jest dla nich bolesny.

Ważnych osobistych przeżyć z tego okresu zachowało mi się w pamięci kilka.

Byłem mniej więcej pięcioletkiem, kiedy przy okazji banalnego przeziębienia okazało się, że mam niebezpieczne wręcz problemy z krzepliwością krwi. Gdy zanedo podniosła mi się temperatura, dostałem krwotoku z nosa, którego nie dało się powstrzymać przez ponad dwie doby. Podobno było dość groźnie. Karetki z bezradnymi lekarzami przyjeżdżały i odjeżdżały, wynoszono kolejne kubelki z pokrwawionymi tamponami, a krew mi z nosa leciała nadal, może nie jakimś wielkim strumieniem, ale jednak stale.

Pamiętam, jak w jakiejś gorączkowej malignie, albo z powodu postępującego osłabienia, zaczęło mi się w pewnym momencie wydawać, że w pokoju widzę białą postać lekarza. Jednak jednocześnie dobrze wiedziałem, że go tu jeszcze nie ma – nie wiem, jak coś takiego było możliwe, ale się działo. Powiedziałem wtedy: *Panie doktorze, niech mnie pan ratuje, ja nie chcę umierać.*

Ten *ja*, który lekarza widział, powiedział to faktycznie do niego – autentycznie nie chciałem umierać (wtedy jeszcze widocznie zależało mi na życiu) i bałem się śmierci. Drugi *ja*, który zdawał sobie sprawę, że lekarza w rzeczywistości jeszcze nie ma, powiedział to, żeby *dokopać* rodzicom – może słysząc, jak ich dziecko żebrze o życie, zrobią w końcu coś skutecznego.

Czyżby pierwsza świadoma (no, na wpół świadoma) próba psychicznej manipulacji, wrabiania rodziców w poczucie winy?

Ostatecznie wyciągnął mnie z tego, w jakiś tajemny sposób, sprowadzony prywatnie pediatra, doktor W. Swoją drogą trzydzieści lat później jego metody leczenia dzieci nadal były mocno kontrowersyjne.

Od tego czasu przy każdym przeziębieniu, które zdarzało mi się przynajmniej kilka razy w roku, natychmiast podawano mi witaminę K – preparat zwiększający krzepliwość krwi. Wprawdzie krwotoki przy wysokiej gorączce zdarzyły mi się jeszcze kilka razy, ale to było już głupstwo, z którym lekarze radzili sobie w pół godziny.

W najmłodszych latach kilkakrotnie próbowano mnie ułokować w żłobku, a następnie w przedszkolu. Eksperymenty kończyły się fiaskiem najdalej po dwóch, trzech dniach, bo ja podobno zupełnie się do takich zbiorowisk nie nadawałem. Ostatecznie cud się stał, kiedy miałem prawie sześć lat. Kolejne przedszkole, tym razem już najstarsza grupa – starszaki – i... udało się. Spodobało mi się tam, chętnie do tego przedszkola chodziłem, a bywało i tak, że nawet prosiłem matkę, żeby nie odbierała mnie zbyt szybko – tak mi w nim było dobrze.

Czasem jednak, kiedy nikt z rodziny z jakiegoś powodu nie odbierał mnie faktycznie zbyt długo i byłem odprowadzany do domu przez wściekłą przedszkolankę albo zostawiano mnie samego, po ciemku, przed furtką zamkniętego przedszkola, było już zdecydowanie mniej przyjemnie. Takie przypadki zdarzały się częściej, niżbym sobie życzył. Matka, zdaje się, pracowała już wtedy w PIH-u i jeździła na delegacje po całym województwie, ojciec w tym czasie spędzał już chyba coraz więcej czasu z kochanką, ciotki i wujkowie też mieli jakieś tam swoje sprawy i tak... Na szczęście przedszkole dzieliło od *kołchozu* zaledwie kilkaset metrów, więc z czasem opiekunki w przedszkolu (przedszkolanki) nauczyły się, w razie czego, puszczać mnie do domu samego.

W przedszkolu miałem pierwszego w życiu przyjaciela – Jurka. Spędzaliśmy z sobą dużo czasu, zawsze bawiliśmy się razem. Znajomość ta zapoczątkowała pewien schemat, który funkcjonował przez większość mojego życia z niezbyt częstymi wyjątkami od reguły: dobry, bliski przyjaciel, potem długo, długo nic i wreszcie kilku albo i kilkunastu znajomych, emocjonalnie właściwie dosyć mi obojętnych. W wieloosobowej paczce równorzędnych kumpli jakoś nie potrafiłem się odnaleźć.

Na zakończenie przedszkola dostałem świadectwo ze zdjęciem zrobionym w piaskownicy wraz z dużym, drewnianym autem i łopatką. Jeszcze pamiętam, jak to zdjęcie było robione, jaką pozę kazano mi przybrać, jak się uśmiechać itd. Świadectwo mam do dziś.

Z okresu *kołchozowego* pamiętam też wczasy z matką w Krynicy. Góry, sanki, śnieg po pas, słońce, na którym można się było opalać, zawody bobslejowe (roztrzaskał się wtedy na torze Niemiec Krüger), wspaniałe jedzenie w domu wczasowym, a w tym zupa cytrynowa – potrawa, której nie miałem okazji jeść już nigdy później – i inne takie atrakcje powodowały, że wspominam ten wyjazd bardzo miło. Wiele lat później dowiedziałem się, że nastąpił on jednak w dość dramatycznych okolicznościach: zima stulecia, potworne mrozy w mieście, niedostatek węgla do ogrzewania mieszkania... Czy to nie wtedy nocą dziadkowi przymarzły wąsy do ściany? W każdym razie załatwione z dnia na dzień wczasy były raczej formą ewakuacji małego dziecka z warunków z trudem nadających się do życia, a nie beztróskim wypadem na zimowisko.

W wieku lat czterech czy pięciu po raz pierwszy w życiu zobaczyłem telewizor. Mój najmłodszy wujek zabrał mnie

do jakiegoś swojego kolegi, w którego domu ten cudowny wynalazek się pojawił. Chłopcy (wujek był ode mnie starszy o zaledwie osiem lat) oglądali odcinek serialu „Zorro”, a ja po kilkunastu minutach uznałem, że jest to nieciekawe i zupełnie niezrozumiałe. Telewizja mocno mnie rozczarowała.

W sierpniu 1963 roku urodził się mój jedyny brat. Trochę to zaskakujące, biorąc pod uwagę pogarszające się wyrażnie stosunki między moimi rodzicami, no ale jakoś się stało. Co ciekawe, ja jego pojawienia się w domu zupełnie nie pamiętam. Jedyny obrazek, jaki zachował się w mej pamięci, to wózek dziecienny, który ktoś kołysał. Jednak żeby zajrzeć do środka i zbadać zawartość wózka, byłem jeszcze za mały.

W 1965 roku wyprowadziliśmy się z *kołchozu* do nowego mieszkania w blokach.

Nowe mieszkanie – obrazek 005

Już od wczesnej wiosny 1965 roku, kiedy to jeszcze mieszkaliśmy w *kołchozie* (ul. Ozimska), często całą rodziną chodziliśmy na spacerów na koniec ulicy 1 Maja, zobaczyć, jak budują się *nasze* bloki. Była to dość daleka wyprawa na krańce miasta – przynajmniej dla człowieka w wieku sześciu i pół roku, bo tyle wtedy miałem. Sama przeprowadzka jawiła mi się jako coś w rodzaju przygody. Myślę też, że nieco udzielała mi się nadzieja i podniecenie rodziców. Może nawet liczyli na to, że ta operacja uratuje ich związek?

Przydział i klucze do nowego mieszkania dostaliśmy w lipcu lub sierpniu 1965 roku. Pamiętam pierwszą wizytę w nowym domu. Niedawno otynkowane ściany były jeszcze wilgotne, a zaprawa cementowa na podłodze nie dość, że mokra, to nawet miękka. Matka była wtedy w butach na

wysokim obcasie, czyli szpilkach, i zostawiała w tej zaprawie odcisnięte ślady.

Wszystkie bloki na ulicy 1 Maja oddano wtedy lokatorom z betonowymi podłogami, wykończone jedynie wylewką cementową. Obiecywano, że najdalej w ciągu dwóch lat wszystkie podłogi zostaną *zrobione*, to jest pokryte linoleum lub płytkami PCV, oczywiście na koszt właściciela bloków, a nie lokatorów.

Matka miała jakieś swoje dziwaczne zasady, nie chciała na przykład płacić łapówek, w związku z czym podłogi musiała wyłożyć sobie sama, na swój koszt, po czternastu latach bezskutecznego oczekiwania, aż zrobi to ten, kto powinien, czyli ADM (Administracja Domów Mieszkalnych), zarządzający budynkami w imieniu ich właściciela – miasta.

I tak przez cały ten czas mieliśmy w mieszkaniu podłogę cementową, z wgłębieniami po matki szpilkach, malowaną od czasu do czasu farbą olejną w kolorze orzech jasny, co stanowiło jedynie jej wykończenie.

W dniu otrzymania kluczy ojciec postanowił, że jeszcze tej nocy będziemy w nowym mieszkaniu spać. To znaczy on i ja, bo matka jakoś się do tej przygody nie rwała. Oczywiście w tym momencie nie było tam jeszcze żadnych mebli, spaliśmy więc z ojcem na podłodze, na stertach koców.

Bardzo mi się to podobało, ale rano obudziłem się z nogami pokrytymi jakimiś pryszczami – ot, efekt kilkunastu godzin spędzonych w oparach świeżego betonu i diabli wiedzą jakich jeszcze chemikaliów.

Ostatecznie przeprowadziliśmy się dopiero, jak wszystko podeszło i kiedy dziadkowie sprezentowali nam kilka podstawowych mebli – całą resztę rodzice kupili na raty.

1 września 1965 roku ciotka zaprowadziła mnie pierwszy raz do szkoły – matka była wtedy, zdaje się, zbyt zajęta. Moja

szkoła podstawowa (numer 18) mieściła się dokładnie naprzeciwko naszego bloku, po drugiej stronie ulicy. Odległość tę oceniam na dwadzieścia pięć, może trzydzieści metrów. Miało to oczywiście swoje zalety, ale miało też i wady – łatwiej było mnie kontrolować.

Niedługo potem mój ojciec zniknął z naszego życia na kilkanaście lat. Zniknął w sensie fizycznym, bo w matki opowieściach, komentarzach, żalach, urazach, wyzwiskach, pretensjach był obecny nieustannie.

W tamtych czasach wiele razy w szkole i innych miejscach musiałem podawać informacje o swoich czy też naszych warunkach lokalowych i rodzinnych. Mówiłem wtedy, że mieszkam z matką, bratem i Olką w nowym, dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią, łazienką, przedpokojem i balko-
nem. Dopiero wiele lat później zrozumiałem, że samodzielne mieszkanie, łazienka (a nie wspólny wychodek na półpiętrze) i balkon wcale nie były wtedy czymś powszechnym. W porównaniu z wieloma moimi szkolnymi kolegami warunki miałem może nie luksusowe, ale na pewno całkiem dobre. Oczywiście tylko do czasu...

Po takiej odpowiedzi padało zwykle dodatkowe pytanie o ojca i Olkę. Matka nie nauczyła mnie jakiejś specjalnej wersji na taką okoliczność, odpowiadałem więc słowami, których ona używała, czyli: *ojciec wyprowadził się do kochanki, ojciec porzucił dom, ojciec nas zostawił* itp. Myślę teraz, że takie stwierdzenia w ustach siedmiolatka musiały budzić lekką konsternację pedagogów. We mnie natomiast nie rodziły one żadnych emocji, podobnie jak u dziecka, które powtarza czasem wyrazy wulgarne, nie zdając sobie sprawy z ich znaczenia.

A Olka? Tu miałem większy problem. Olka to Olka. Aleksandra W. – dziewczyna do dziecka, jak to się wtedy

nazywało, którą moi rodzice sprowadzili z podrzeszowskiej wsi. Wtedy nie było to nic nadzwyczajnego – o ile rzecz jasna nie używałem określenia niania czy bona, bo to mogło zrodzić niezdrowe podejrzenia co do naszego pochodzenia społecznego i statusu materialnego.

Początki edukacji – obrazek 006

Latem 1965 roku wyprowadziliśmy się, jak wspomniałem, z *kołchozu* do nowego mieszkania w blokach. Dość dokładnie rok ten utkwił mi w pamięci, bo niedługo po przeprowadzce rozpocząłem pobieranie nauk w pierwszej klasie Szkoły Podstawowej numer 18. Kilka lat później uzyskała ona patrona w osobie Jana Kochanowskiego, czyli „Jana z Czarnolasu”.

System szkolnictwa w Polsce w drugiej połowie XX wieku był stosunkowo prosty. Na początek powszechna, obowiązkowa, ośmioklasowa szkoła podstawowa – dziwnym zrządzeniem losu zajęła mi dokładnie tyle. Po niej były cztery możliwości:

- Szkoła zawodowa – ucząca konkretnego zawodu, np. murarza, i w zasadzie nic więcej. Dwa–trzy lata.

- Technikum – dawało zarówno konkretny zawód, jak i maturę. Pięć lat.

- Liceum ogólnokształcące – kończyło się maturą, ale bez żadnego określonego zawodu. Cztery lata.

- Liceum zawodowe – mutacja, jakby połączenie liceum ogólnokształcącego i technikum. Cztery lata.

Następny etap po maturze to studia wyższe. Trwały zwykle cztery i pół roku i zarówno na uczelniach technicznych (politechniki), jak i humanistycznych (uniwersytety) kończyły się obroną pracy magisterskiej. W Wyższych Szkołach Inżynierskich (WSI) można było, do czasu, uzyskać dyplom inżyniera, bez magisterium. Licencjaty nie były wówczas znane.

Na razie jednak jestem w szkole podstawowej.

Na lekcje szedłem oczywiście należycie wyekwipowany. Na plecach (akurat! zwykle przewieszony przez ramię albo włączony za sobą) nosiłem tornister z lakierowanej tektury, ale tylko przez pierwszy rok – później udało mi się zamienić ten hańbiący przedmiot na granatową teczkę z ceraty. Przekonałem matkę, że do szkoły mam tak blisko (mniej niż trzydzieści metrów), iż mimo braku tornistra na grzbiecie kręgosłup nie zdąży mi się wykrzywić.

W tornistrze miałem „Elementarz”, książkę do matematyki, zeszyt w kratkę, zeszyt w wąskie linie (o zeszytach ćwiczeń nikt jeszcze wtedy nie słyszał) i *góralski* piórnik. *Góralski* (motywy górskie na wieczku) piórnik wykonany był z drewna, jego przykrywka była tak ściśle dopasowana, że niemiłosiernie skrzypiała, gdy się chciałem dostać do jego zawartości. Jako że prawie wszyscy mieliśmy podobne, zęby cierpły, kiedy pani nauczycielka kazała wyjąć pióra i coś tam zapisać.

Jak sama nazwa wskazuje, w piórniku należało mieć przede wszystkim pióro – plastikową obsadkę z dużą stalówką przeznaczoną do maczania w kałamarzu z atramentem. Przez pierwsze dwa lata nie nosiliśmy do szkoły swojego atramentu. Ławki, w których siedzieliśmy, miały w blacie specjalne otwory na kałamarz, a zadaniem pani woźnej było pilnowanie, by w kałamarzach było więcej atramentu niż much. Nie zawsze jej się to udawało.

W drugim lub trzecim roku mojej nauki szkoła z oporami przyjęła do wiadomości istnienie piór wiecznych i niechętnie wyraziła zgodę na ich używanie. Początkowo stać na nie było bardzo niewiele. Powoli znikwały ławki z kałamarzami i ci, którzy nie mieli wiecznych piór, musieli nosić atrament z sobą. Na zgodę na pisanie długopisem przyszło nam czekać kolejne lata.

W tamtych czasach uczeń szkoły podstawowej nie mógł być ubrany według własnego widzimisie. Chłopca obowiązywał granatowy mundur (dopuszczalne były też czarne) z białym kołnierzykiem. Ten kołnierzyk miałem przypinany na guziki i wymieniany na czysty i wyprasowany każdego dnia. Na rękawie mundurka, koniecznie trwale przyszyta, tarcza – identyfikator szkoły. Dla dziewczynek obowiązkowy był granatowy, lub czarny, fartuszek także z białym kołnierzykiem.

Kolejnym niezbędnym elementem wyposażenia ucznia był szmaciany worek, a w nim kapcie (pantofle) – plastikowe torby, reklamówki, nie były wtedy znane. W szkole nie chodziliśmy w butach. Przy wejściu do szkoły stała pani woźna lub dyżurni (uczniowie starszych klas) i sprawdzali, czy wchodzący mają kapcie – zapominalskich czekał bieg do domu. W szatni należało założyć kapcie, a buty schować do specjalnej szafki lub do worka po kapciach, jeśli szafek nie było. Przy wyjściu ze szkoły nikt już nie sprawdzał, czy uczeń nie wychodzi przypadkiem w kapciach na mróz.

W dni, kiedy było wychowanie fizyczne, w worku nosiliśmy dodatkowo obuwie sportowe, co w tamtych czasach oznaczało tenisówki lub trampki. Jeśli nawet istniały już firmy Adidas, Puma czy Nike, to polskim dzieciom nikt o tym jeszcze nie powiedział. Poza tym podczas lekcji WF trzeba było mieć na sobie granatowe szorty z bardzo szerokimi nogawkami (zwane pumpami lub balonówkami) oraz białą bieleżnianą podkoszulkę na ramiączkach.

Ta unifikacja i standaryzacja strojów poza wszystkimi oczywistymi wadami miała też jedną zaletę, którą odkryłem w szkole średniej, czyli w miejscu i czasie, w którym żadne mundurki już nie obowiązywały. Ubrany w standardowy mundur, taki sam jak wszystkie inne dzieci, mogłem nie

czuć się gorszy z powodu skromniejszych warunków materialnych. Nie było możliwości popisywania się, szpanowania ciuchami.

Za moich czasów lekcje w szkole podstawowej odbywały się od poniedziałku do soboty włącznie, z tym że w soboty było ich nieco mniej. Wolne soboty były jeszcze w sferze marzeń, podobnie jak inne fantastyczne wynalazki znakomicie ułatwiające życie ucznia, jakimi są dysleksja, dysortografia i różne takie wspaniałości.

Wybór szkoły i zawodu – obrazek 007

W 1965 roku rozpocząłem, a w 1973 zakończyłem pobieranie nauki w szkole podstawowej. Jak łatwo obliczyć, w tamtych czasach trwała ona lat osiem. Moi rodzice chodzili jeszcze do siedmioklasowej szkoły podstawowej (jeszcze wcześniej liczyła ona sobie klas sześć), natomiast kiedy ja skończyłem podstawówkę, rozpoczęły się – kompletnie nieudane – eksperymenty ze szkołami dziesięcioletnimi.

Po nich nastąpił powrót do ośmioletnich, a w roku 1999 kolejny raz wyrócono wszystko do góry nogami, wprowadzając trzyletnie gimnazja, poprzedzane sześciioletnimi szkołami podstawowymi.

Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by widział jakikolwiek sens w tego typu działaniach, poza chyba jednym, oczywistym: jeżeli z jednej szkoły robi się dwie albo nawet trzy, to większą liczbę znajomych i krewnych można obdarować stanowiskami dyrektorskimi.

W połowie siódmej klasy przekazano nam wiadomość, że w określonym terminie możemy skorzystać z poradni zawodowej. Chodziło o uczniów, którzy jeszcze nie wybrali sobie następnej szkoły albo swego wyboru nie byli pewni.